

Antoni J e l e c

W S P O M N I E N I A
S P O D O K U P A C J I S O W I E C K I E J I N I E M I E C K I E J
N A P O L E S I U

P ł o c k - 1992

Antoni Jelec
09-407 Płock
ul.Kopernika 38
tel. 24874

"Ojczyzna to ziemia i groby,
Narody tracąc pamięć, tracą życie."

/Tablica na murze starego zakopiańskiego cmentarza/

Pomiędzy rzekami Muchawiec, Jasiołdą, Piną i Kanalem Królewskim /obecnie Dnieprzańsko-Bużańskim/ leży jakoby w paszczy zachodniego Polesia kraina zwana Zahorodziem.

Kraina równinna przypominająca Podlasie, nie wiele podobna do otaczającego ją ze wszystkich stron, położonego nieco niżej Polesia. Mieszkańcy tej krainy żyli raczej biednie, ale znacznie zamożniej od mieszkańców właściwego Polesia.

W tej krainie w miejscowości Bezdzież, niedługo po odzyskaniu niepodległości już w Drugiej Rzeczypospolitej przyszedłem na świat w rodzinie Jelców. Tam przeminęło moje dzieciństwo, tam się urodzili, żyli i tam spoczywają moi dziadkowie, pradziadkowie i jeszcze dawniejsi przodkowie. Tam spoczywają również prochy mojej Matki.

Zanim przystąpię do opowiadań z okresu wojny, trzeba coś niecoś powiedzieć o życiu w Bezdzieżu w okresie międzywojennym, a niewiele ono chyba różniło się i przed pierwszą wojną światową. Bodajże wszyscy stali mieszkańcy zajmowali się uprawą ziemi i przede wszystkim z tego żyli. Ziemi jedni mieli więcej, bo kilkanaście ha, inni mniej a jeszcze inni wcale. Ci ostatni pracowali u tych bogatszych, albo brali ziemię "na trzeciak". Ziemię obrabiali nawet ci, którzy mieli kuźnie lub inne warszaty.

Jesienią siano żyto i ozimą pszenicę a wiosną jęczmień, owies i proso oraz pszenicę jarą. Sadzono kartofle. Nie sadzono buraków cukrowych, gdyż w pobliżu nie było cukrowni. Sadzono buraki pastewne. Maszyn rolniczych nie było. Ziemię obrabiał koń, pług i brona. Kartofle oborywano sochą, często drewnianą. Brona była z zębami żelaznymi lub też całkiem drewniana.

Żniwa przeprowadzano sierpem i była to praca wyłącznie kobieca. Mężczyźni kosili przedewszystkim trawy, a często owies i jęczmień. Delikatna praca była z żęciem prosa, bo ono lekko się wysypywało. Przy zwózce trzeba było na wozie rozposcierać prześcieradła, bo niewiele by się dowiezło do stodoły.

Zżęte zboże wiązano w snopki i ustawiano w dziesiątki. Jeden snop stawiano pionowo, potem cztery po jednym z każdej strony, potem pomiędzy nich jeszcze cztery i dziesiąty jako czapka na wypadek deszczu. Tak szczególnie żyto schło przed zwiezieniem do stodoły. Zboża jare układano w kopy.

Przy kopaniu kartofli dzieci miały frajdę - palono kartofliska i pieczono w ognisku/w popiele/ kartofle, były bardzo smaczne.

Siano również len. Ze lnu była odzież - koszule, spodnie, prześcieradła i inne przedmioty. Przy lnie było dużo roboty. Trzeba go było po posianiu pielic, potem rwać, potem suszyć, musiał się wybielić na słońcu, oddzielić kijanką siemię, potem moczyć i znowu suszyć, potem międlic, czesać, prząść i tkąć, a potem płótno znowu moczyć i bielić, aż było gotowe do dalszego już użytku. Czasem płótno się farbowało, często już po uszyciu.

Przez zimę kobiety i dziewczęta przędły, a pod wiosnę tkwały. Warsztat tkacki był prawie w każdym domu. Do przędzenia była potes, rzadko kto miał kołowrotek. Przędzenie odbywało się dniem i wieczorami. Wieczorami kobiety i dziewczęta schodziły się co wieczór zazwyczaj do kogoś innego i przędły śpiewając. Chłopey figlowali i opowiadali różne rzeczy. Chłopcy toczyli

wrzeciona i darowywali je dziewczętom jako prezenty.

Młócenie zboża należało do mężczyzn. Młócono cepem. U nas była młocarnia.

Po siewach, a jeszcze przed żniwami, były sianokosy. Kosili mężczyźni, ale grabienie i przewracanie siana należało również i do kobiet. Do prac szczególnie w polu ludzie się wynajmowali lub też pomagali sobie wzajemnie.

Zajęciem kobiet było również chodzenie do lasu po jagody i na grzyby.

Dawniej ubierano się raczej tylko w ubiory samodzielne ze lnu lub wełny. Z czasem coraz więcej kupowano materiałów fabrycznych, ale najczęściej jednak ubrania szyto na miejscu, często nawet ręcznie bez maszyny do szycia. Kupowano czapki, sweterki lub koszule. Buciki kupowano gotowe szczególnie dzieciom i to dziecku najstarszemu. Młodszy nosił je potem. Porządne buty szewcy szyli na miejscu. Bluzki dziewczęta nosiły z kupnego materiału, nosiły również bluzki lniane z pięknie wyszywanymi rękawami. Do spódnic, do stroju świątecznego, nosiły białe lniane w piękne wzorki utkane fartuszki haftowane ręcznie w kolorach. Starsi wiekiem, często jeszcze chodzili w białych lnianych ludowych spodniach i koszulach. Przez dwojną modne były góralskie haftowane kożuszki męskie a szczególnie damskie w cenie ok. 60 zł. U mężczyzn na zimę była kurtka sukienna podbita baraním futerkiem lub długi kożuch.

Wojna zastała mnie w słabym obuwiu. Uparłem się na pantofle bez cholewek zamiast na buty z cholewami. Nie nadawały się one na tamtejszą zimę, a o butach w czasie wojny nie było już po co marzyć.

Obrzędy ludowe u katolików i prawosławnych nie wiele się różniły, tylko, że prawosławnych było wiele więcej to też ich święta były bardziej widoczne. Święta u prawosławnych były o dwa tygodnie później. Na Trzech Króli była wigila Bożego Narodzenia u prawosławnych. Wielkanoc czasem była razem, a czasem u prawosławnych nawet prawie o miesiąc później. Wynikało to z ich kalendarza kościelnego i czasu pierwszej pełni księżyca po wiosennym przesileniu dnia i nocy. Stąd i święta Wniebowstąpienia i Zielonych Świąt przypadały różnie. Święta Bożego Ciała u prawosławnych nie ma.

Na Boże Narodzenie już w wigilię chodzono po kolędzie z gwiazdą. Spiewano kolędy zazwyczaj pod oknem, a gospodarze dawali datki, które potem kolędnicy dzielili między sobą. Gwiazdę chłopcy robili w czasie adwentu. Była to zazwyczaj obręcz z sita z otworami i wstawionymi w nie piramidalnymi ostrymi rogami oklejonymi kolorowym papierem. Z papieru był również front gwiazdy, a na to wszystko ponaklejane były różnokolorowe wycinanki kwiatuszków i tp. W środku gwiazdy stała zapalona świeca, gwiazdę trzeba było stale obracać bo inaczej by się zapaliła.

Opłatkiem na wigilię dzielili się tylko katolicy. U prawosławnych tego zwyczaju nie ma. Pasterka w kościele była zawsze o północy. Z gwiazdą chodzono i na Nowy Rok. W okresie Bożego Narodzenia w szkole urządzone były jasełka. Reżyserem był któryś z nauczycieli, artystami dzieci szkolne a widzami rodzice i pozostałe dzieci.

Od Bożego Narodzenia do Trzech Króli wieczory były święte i wieczorami nie pracowano. Schodziło się na wieczorynki, śpiewano, opowiadano i dokazywano. Młodzież sobie a starsi sobie. Na wieczorynki umawiano się i odbywały się one według ustaleń, jak by to się dziś powiedziało "według grafiku". Poźniej na wieczorynkach to już było przedzenie lnu.

Na Trzech Króli w kościele święcono wodę i kredę, a u prawosławnych wodę w rzeczce. Święconą kredą na drzwiach pisano znaki "K+M+B", już nie pamiętam po co to było, a oznaczało Kacper, Melchior i Baltazar - trzech króli.

Na wieczorynkach również chłopcy i dziewczęta uczyli się tańczyć, w soboty bowiem wieczory były "święte" i już nie pracowano. Postę rozpoczynał się od środy popielcowej. Ksiądz posypywał głowy wiernych popiołem. Nie wiem, u prawosławnych chyba tego zwyczaju nie było. W poście len już był rześzej sprzedany i następowało tkanie płótna. Wieczory były już krótsze i wieczorynki rzadsze.

Zbliżała się Wielkanoc, a z nią wiosna. W kościele uroczystości już od wielkiego czwartku. W wielką sobotę święcenie jaj, chleba, soli i mięsa. U prawosławnych święcenie to odbywało się bodaj przed rezurekcją. Do cerkwi zjeżdżali się wierni również z Kokorycy, Zastawia i Zakletania, a nawet z dalszych wsi. Po rezurekcji był taki zwyczaj, Kokoryczanie starali się jak najszybciej być w domu i zasiąść przy uroczystym stole, stąd odbywały się w niedzielę wielkanocną nad ranem swoiste wyścigi.

Związane one były z pomyślnością w całym roku. Święcone u prawosławnych nie było w małym koszyczku, ale święcono duży kosz wszelkiego jada. Wielkanoc u prawosławnych nie trwała dwa dni, a dni kilka i trzy i cztery jak już kto chciał i mógł. Krewni i znajomi obdarowywali dzieci kraszankami. Na placu przed cerkwią zbierali się i starsi i dzieci. Dzieci i młodzież bawiła się kraszankami farbowanymi specjalną farbą lub w cebuli. Bito jajko o jajko, przegrywał ten czyje jajko zostało z obu stron zbite. Nie bywało i bez oszustw. Czasem ktoś jajko wzmacniał przez nalanie do środka smoły i zamaskowanie tego, ale, gdy oszustwo wyszło na jaw dostawał w skórę.

Starsi spotykali się przy tym przed cerkwią na placu po mszy wielkanocnej. Była to okazja do spotkania można powiedzieć wszystkich ze wszystkimi. Składano sobie życzenia wielkanocne i zapraszano się na przyjęcia. Nie jeden pokazał się w nowym ubraniu czy też eleganckich butach. W drugim dniu Wielkanocy dziewczęta zbierały się na placu przed sklepem spółdzielni i robiły kórowód śpiewając "strełku" treści tej pieśni nieestetycznej nie pamiętam. U katolików o jakiejś wspólnej imprezy było trudniej, gdyż było ich znacznie mniej i byli rozproszeni.

W poniedziałek po niedzieli przewodniej wyganiano zimę. Dzieci brały stare buty i łapcie i rzucały je jak najdalej przed siebie, biegnąc drogą w kierunku Chomska aż za cmentarz. Krzyczano przy tym "a kysz zyma do kuczera, bo wżesz ty nam dekuczyła", tłumaczyć chyba nie muszę, a co znaczy ten kuczer to i sam nie wiem.

Zielone Świątki obchodzono dwa dni. Na Boże Ciało procesja z kościoła obchodziła centralne ulice i wracała do kościoła. Nie było tego u prawosławnych. Za to u prawosławnych procesja szła na Trzech Króli święcić wodę w rzeczce.

A święta państwowe? 1 lutego, co prawda, nie było świętem ale były to imieniny pana prezydenta. Dzieci szły do kościoła i cerkwi. Pamiętam to, bo mi zawsze bardzo marzyły nogi i bolały kolana, tego panu prezydentowi zapomnieć nie mogę. Podobnie 19 marca imieniny marszałka Józefa Piłsudskiego, a później 18 marca marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

3-Maj - święto konstytucji. Był pochód przez wieś z orkiestrą dętą, bo taka w Bezdzieżu była. Posiadała ona ładne zielone specjalne mundury. Obchodzony był również dzień 11-listopada - święto odzyskania niepodległości.

Reszta dni w roku to raczej szare nudne życie i ciężka praca, ale nikt od życia wiele i nie wymagał.

Chleba i mięsa w zasadzie nikt nie kupował w sklepie. Każdy lub prawie każdy gospodarz hodował świnie dla siebie i na sprzedaż oraz owce i bydło rogate. Na Boże Narodzenie i Wielkanoc zabijano świnie a czasem jałówkę, cielaka lub owcę i było mięso. Podstawowym mięsem było świńskie. Po zabicu świnii robiono kiełbasy, resztę solono przesuszano i składano do kubła i w zimnym miejscu przechowywano. Na lato pozostawała raczej tylko słonina - łatwiej było przechowywać. Jako mięso latem mógł być drób. Lodówek niestety jeszcze nie znano

W wojsku Polacy służyli blisko, przede wszystkim w Pińsku, Kobryniu i Brześciu lub Baranowiczach. Prawosławnych wysyłano do Torunia, Bydgoszczy, Chełmna i Grudziądza. Żołnierzy widziano we wsi jedynie, gdy ktoś przyjechał na urlop. Piechur miał bagnet przy boku, a kawalerzysta szablę i ostrogę przy butach. To było coś, a jak przyjechał na urlop starszy strzelec, czy raczej rzadko kapral, to dopiero był ktoś. Trzeba jednak oddać hołd tym wszystkim prawosławnym którzy nie czuli się Polakami, żaden z nich, a przynajmniej nie o tym nie wiadomo, by służyć w Wojsku Polskim splamili się we wrześniu 1939 roku.

Chyba w 1936 roku na Polesiu odbywały się wielkie manewry wojskowe. W Bezdzieżu wtedy było dużo wojska, był również gen. Kazimierz Sosnkowski. Widziałem go siedział w odkrytym samochodzie przed naszym domem.

Kina nie było. Pierwszy film niemy widziałem w 1935 r. Było to kino objazdowe, pokazywano pogrzeb marsz. J. Piłsudskiego. Aby to zobaczyć, dwóch silnych mężczyzn musiało ręcznie napędzać dynamo wytwarzające prąd i uruchamiające projektor filmowy.

Kiedyś do Bezdzieża przyjeżdżał wojewoda Wacław Kostek-Biernacki. Szkoła przywitała go grą na skrzypcach przez moją koleżkę Janę Juszkiewicza, któremu później wojewoda przysłał piękne skrzypce z dedykacją.

Wójttem w Bezdzieżu za mojej pamięci był pan Władysław Dziur-
dziński. Z jego synami Bronkiem i Mateuszem uczyłem się. Po nim
był Bogusław Domański i tego już zastała wojna w Bezdzieżu. Sekre-
tarzem gminy był pan Ranachowski chyba Wiktor. Z poliejantów pa-
miętam Millera - komendanta posterunku, z jego synami Kaziem i Ry-
siem chodziłem do szkoły. Kazie to ten "od niedojrzałych jabłek w
raju". Z poliejantów pamiętam Kerczyńskiego z pięknym rowerem i Pro-
tasewicza rodem z Janowa Lubelskiego. Jego córka Genowefa była ze
mną w tej samej klasie. Pogromcą chuliganów był Ozygała.

OD WRZEŚNIA 1939 DO CZERWCA 1941 ROKU

Na kilka dni przed pierwszym wrześniem odwołano termin rozpoczęcia roku szkolnego. 31 sierpnia rozplakatowane obwieszczenia o powszechnej mobilizacji. Pamiętam - przez wieś przemknął samochód. Na sklepie przyklejone zostało obwieszczenie o mobilizacji. Do wojska mieli się natychmiast zgłosić rezerwiści posiadający białe karty mobilizacyjne z czerwonym paskiem. Na mobilizację do PKU zgłosił się również Stryjek Stefan, kartę mobilizacyjną zamieniono mu na niebieską z terminem zgłoszenia się w szesnastym dniu mobilizacji.

1 września, zdaje się, był piątek i dzień pochmurny. Rano, gdy wstałem, usłyszałem huk przelatującego samolotu. Radio podało, że o godzinie 4,45 Niemcy przekroczyli granice Polski. Rozpoczęła się wojna. Przyjęliśmy to w skupieniu i powadze. Nie wiadomo co będzie. Mama powiedziała, że wojny tej nie przeżyje. Ojciec powołany już był do służby w TOPL /terenowa obrona przeciwlotnicza/ i pełnił służbę na posterunku obserwacyjnym, zadaniem którego było przekazywać meldunki o przelatujących samolotach, ile, jakie i kierunek lotu. Poza tym nic się nie zmieniło. 3 września radio podało komunikat, że Anglia, a nieco później Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Zapanowała radość - Niemcy wojnę przegrają. Radio prosiło, by komunikat ten przekazywać przechodzącym oddziałom wojskowym. U nas jeszcze oddziały te nie przechodziły. W pierwszych dniach wojny, a może nawet pierwszego września, kilka bomb zrzuconych zostało na Drohiczyn. Widziałem latające i pikujące samoloty. Zadrżały szyby w Bezdzieżu. Pomimo, że Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom komunikaty radiowe dotyczące sytuacji na froncie nie były pocieszające. Bombardowana była Warszawa i inne miasta. Sukcesów z frontu w komunikatach brak. Nie pamiętam, czy nauka w szkole w Bezdzieżu w następnych dniach się rozpoczęła, ale już do Pińska nie pojechałem. Dochodziły wieści, że te i inne miasta zajęte już przez Niemców. Pokazali się uciekinierzy z województw zachodnich. Po kilku dniach pojawiają się również i zwarte oddziały wojskowe. 16 września PKU w Drohiczynie już nie było i stryjek nie miał już do kogo się zgłosić. W nocy z 16 na 17 września wojsko z kierunku Chomska na Motol i Janów idzie już na dobre. Dom nasz przy głównej drodze. Nie wiem z jakich powodów ojciec decyduje, że na noc wybieramy się, gdzieś /nie pamiętam już do kogo/ na kolonię na nocleg. Idę wieczorem z babcią Ewą. Zatrzymał nas przy swoim domu stojący Iwan Czechów - późniejszy działacz z okresu władzy radzieckiej. Przekonał nas, że nie ma ~~tu~~ sensu gdziekolwiek iść. Zostaliśmy u niego na nocleg. Mnie to było na rękę, gdyż iść trzeba było dość daleko, ale Ojciec i Matka nie spali przez całą

noc. Co myśleli nie wiedziałem wtedy. Rano dowiedzieliśmy się, że Armia Czerwona przekroczyła granicę Polski, niosąc jak było podane w komunikacie wyzwolenie braciom Ukraińcom i Białorusinom z polskiego pańskiego ucisku. Jakie to było wyzwolenie, okazało się dość szybko, a szczególnie odczuli to Polacy.

Wojska radzieckie nie wkroczyły do Bezdzieża od razu, a gdzieś może po tygodniu, przeszły i poszły dalej. Ludność z orkiestrą wyszła do mostu witać żołnierzy. Wojsko niestety orkiestrze zabrało wszystkie instrumenty. Ludzie ubrani byli jak na codzień, ale żołnierze traktowali ich jak ubranych w stój świąteczny i pytali jakie to macie dzisiaj święto. Wojsko we wsi zabierało żywność na własne potrzeby. Komuniści miejscowi i okoliczni, pożał się Boże co to za komuniści, zaczęli działać niezwłocznie. Jakie oni mieli pojęcie. Zabili u leśniczego Wasilewskiego Wacława w Zakleteniu, Bogu ducha winnego, uciekiniera z centralnej Polski, prawdopodobnie myląc go z tym leśniczym. Zabił go niejaki Kurowski z tegoż Zakletenia, który w latach późniejszych był w policji niemieckiej i wiele zła uczynił. Aresztowano księdza Tomaszewskiego. Ten im tłumaczył, że on jest wyznawcą komunizmu, gdyż Chrystus był pierwszym komunistą, bo kazał bogatym rozdawać to co posiadają biednym. Nie wiedzieli co na to odpowiedzieć. W konsekwencji księdza zwolnili. Zatrzymano stryjka Stefana, Markiewicz Piotr z Opoła, pamiętam, chciał stryjka rozstrzelać, bo był to jego zdaniem pan-wyzyskiwacz, ale Żydek z tegoż Opoła, który stryjka znał przetłumaczył mu, że Jelec to nie wyzyskiwacz, nie obszarnik a zwykły urzędnik i ten się odczepił. Za stryjkiem poszła ciocia Tekla z małym Stasiem - nie wiem może i to też pomogło.

Policja znikła, a wraz z nią i mój wychowawca Stanisław Ratajczak - oficer rezerwy. Nie wiem jakie mieli zamiary, najprawdopodobniej przejść do centralnej Polski. Zorganizowano za nimi pościg, w wyniku czego postrzelono komendanta posterunku Millera. Leżał on w szpitalu w Drohiczyńcu. Wdarł się tam jakiś bandyta i przebił go bagnetem. Ten jednak nie umarł, został wyleczony, a następnie sądzony i skazany na śmierć. W drodze ułaskawienia wyrok został zamieniony na dożywocie. Ślad jednak po nim zaginął. Chodziła pogłoska, że szybko już nie żył. Po moim wychowawcy ślad również zaginął.

Do Berezy Kartuskiej pojechała delegacja z czerwonymi flagami i przywiozła stamtąd internowanego Kołosieja Karpa z Zakletenia - komunistę dość rozsądnego jak na wiejskie warunki człowieka. Znał go Ojciec i on Ojca znał. Wojna się kończyła. 28 września kapitulo-

wała Warszawa. Dowiedzieliśmy się o tym z radia. Następował nowy nieznany jeszcze w skutkach okres. Komuniści rozbijali rozbitych polskich żołnierzy, zabierali nie tylko broń ale buty i mundury. Był to często rozbój. Tych grabieżców nie można było nazywać komunistami. Pod płaszcz komunistów ubierali się różni bandyci. Zwykli mieszkańcy potępiali ten rozbój. Przecież to zwykli chłopcy wracali z wojny do domu.

Bezdzieżanie - żołnierze polscy znaleźli się w niewoli niemieckiej lub radzieckiej. Niektórzy również wracali do domu prosto z pól bitewnych. Tu trzeba oddać hołd tym wszystkim miejscowym żołnierzom nie-Polakom. Nie słyszałem o żadnym, by się nie bił, by zdezerterował z pola walki. Byli dobrzy dla Polski żołnierzami. W Samodzielnej Grupie Operacyjnej "Polesie" generała Kleberga, który ostatni w dniu 6 października 1939 r. pod Kockiem zaprzestał walki po wyczerpaniu amunicji, była dywizja "Kobryń" a w niej 184 pułk piechoty z Pińska, samodzielny pododdział "Drohiczyn-Poleski" i zgrupowanie "Jasiołda". Byli w nich i Bezdzieżanie.

W 1939 roku Niemcy doszli do Kobrynia. Szli z kierunku północnego z Orzysza i Ełku. Rosjanie przekroczyli Bug i szli w kierunku Warszawy. Później się wycofali i granica ustalona została na Bugu. Miejscowe chamstwo dopiekało nam, że Polska przepadła na zawsze. Trzeba było ścierpieć i milczeć. Popłakać można było tylko w domu. Nieznany był dalszy nasz los. Nie zanosilo się jednak na nic względnie dobrego. Przyszedł czas, że tego co się nazywa władzą państwową nie było. Ci co sami wzięli władzę w swoje ręce bez niczyjgo upoważnienia, ani o władzy pojęcia nie mieli, ani mieć nie mogli, a już najgorsze to, że dla nich żadne prawo nie istniało.

Zaczęło braknąć soli i nafty oraz mydła. W ogóle nic kupić nie było można. Zaczęli pojawiać się przedstawiciele władzy organizowanej w rejonie w Drohiczynie. Obiecali złote góry, że wszystko co potrzebne idzie z Rosji. Szło to wszystko jednak bardzo powoli, aż ludzie którym nie do śmiechu, śmiali się że wiozą wołami. Powoli można było zrozumieć, że ta bieda jaka była przed wojną to teraz była wymarzoną dobrobytem, że zbliża się wielka bieda.

W Bezdzieżu powstał sielsowiet. Sielsowiet to odpowiednik urzędu gminnego, ale mniejszy swym zasięgiem. Z bezdzieskiej gminy powstało ich kilka. Do bezdzieskiego należały wsie Bezdzież, Zakletenie i Kokoryca.

Razem z organizowaną władzą administracyjną, a może nawet wcześniej przybyło do powiatu NKWD czyli policja polityczna. Naród szybko

się przekonał, że nie można narzekać, trzeba tylko chwalić i cieszyć się szczęściem jakie nas spotkało. Szybko skończyły się chuligańskie wybryki i bójki młodzieży. Posypały się ciężkie wyroki i zsyłki. Zapanował idealny spokój.

Poza dawną granicą polsko-radziecką w głąb Rosji pojechać nie było można. Tego dobrobytu zobaczyć z bliska nie było wolno, trzeba było wierzyć na słowo. Ci, co z czasem przyjechali stamtąd, niewiele chcieli powiedzieć, a zachwycali się wszystkim, co tu zobaczyli. Już wiele z tego można było zrozumieć.

Przeprowadzono wybory delegatów do rad wszystkich szczebli. Pamiętam delegatem /posłem/ do Rady Najwyższej był szef NKWD z Drohiczyzna. Przy głosowaniu, jak w każdym szanującym się kraju, była kabina. Marny los spotkał z czasem tego, kto z niej skorzystał. Na każdy mandat był jeden kandydat i na niego trzeba było głosować, a niech by kto nie głosował, okazałby się jawnym wrogiem władzy radzieckiej. Takim miejsca nie było.

We wsi musiał być "wróg ludu" - kułak, inaczej bogacz wójski z powodu, którego pozostałym było źle i żyli oni w biedzie. Kułaka trzeba było zniszczyć i niszczone. Z czasem trafiał on do więzienia lub na Syberię. Majątek jego roztrwoniono - rozdano tym biednym, nie stawali się oni przez to bogatsi. Kułak to był ten co przed wojną ciężko pracował i czegoś się dorobił, a nie przepił. Podobnie było w Polsce w pierwszych latach po wojnie.

Radziecka władza propagowała ideę, że każdy może się uczyć. W Pińsku wznowiło naukę gimnazjum. Pojechałem. Jadąc do Pińska spotkałem wracającego z wojny Kuksę Ignacego, byłego woźnego ze szkoły. Chwalił polskich oficerów i żołnierzy za poświęcenie i waleczność. Zginął on potem w armii radzieckiej w 1944 lub 1945 roku.

Nie pamiętam już z jakiego powodu, ale mieszkałem w internacie gimnazjum handlowego. Za internat trzeba było płacić gotówką i prowiantem. Uczyłem się zaś w tym samym gimnazjum co przed wojną. Tak trwało do świąt Bożego Narodzenia. Uczyli w większości ci sami profesorowie. Brak było tych co poszli na wojnę i może kilku innych. Ten od niemieckiego Fritz Jakob znikł w pierwszym dniu wojny. Mówiono, że był członkiem piątej kolumny. Dyrektor gimnazjum Stanisław Mercik został aresztowany. Obowiązki dyrektora przejął poprzedni emerytowany już dyrektor prof. Artur Sliwiński /zginął potem w więzieniu niemieckim/.

Niemcy we wrześniu 1939 r. do Pińska nie doszli. Armia Czerwona wkracząc do Pińska pociskami artyleryjskimi zniszczyła kościół Jezuitów i zbombardowała sobór prawosławny. Po co? Ano,

podobno ktoś z wieży tego kościoła wystrzelił. Nie do wiary, to tak jak by krasnoludek chciał zabić słońca. Była jednak okazja pozbyć się górującego nad miastem kościoła.

W Pińsku byłem, jak już wspomniałem, do ferii zimowych. Przy ostatnim pobycie w domu Ojciec dał mi kilka rubli i trochę złotych, które również kursowały. Ruble papierowe wydałem szybko, bo to papierki, a pozostawiłem złote polskie, bo były srebrne, a to metal szlachetny, a jest przecież wojna, choć nie tu, ale w świecie trwa. Na kilka dni przed feriami ogłoszono, że złoty polski traci ważność i przestaje być walutą obiegową. Jak ja dojadę do domu? Za co? Jeździło się wtedy pociągami na gapę, to nie problem, jeździło się przecież po naukę. Ale dorożkarz? Upewniłem się u dorożkarzy wcześniej, czy któryś do stacji za moje srebrne monety dowiezie. Niestety chętnego nie znalazłem. Ot i moje srebro. Miałem ciężką walizkę, zrobiłem więc z jakichś deszczułek sanki do tej walizki. Póki wiozłem tylko swoją walizkę było dobrze, ale koledzy proszą, by ich walizki też podwieźć - pomogą. No i pomogli. Sanki trzaś i walizka już jechała po ziemi i śniegu, bo unieść jej nie mogłem. Jest ona gdzieś jeszcze bodajże w Olecku na stryszku i są na niej ślady pińskiego chodnika. Miałem ze sobą butelkę nafty, wiozłem do domu. Usiadłem z Heniem Tomaszewskim w wagonie. Uderzyłem, rzecz jasna niechcący, butelką o kant ławki i do dziś wiem jak nafta szkodzi butom. Te moje nieszczęsne modne pantofle uszyte przed wojną szybko popękały, nie ważne już to, że długo było ich czuć naftą. W przedziale za to jechaliśmy wygodnie bodajże na leżące. Nikt do nas nie dosiadał. Po świętach do Pińska już nie wróciłem. Gimnazjum przeformowane na średnią szkołę radziecką i drugą klasę gimnazjum zakwalifikowane jako szóstą klasę radziecką. Od jesieni przyszłego roku szóstą klasę miała być w Bezdzieżu.

W Pińsku byłem jeden jedyny raz na wagarach. Jak do tego doszło? Z gimnazjum do internatu szkoły handlowej było dość daleko, może półtora, może dwa kilometry. W pobliżu internatu w budynku dawnego sądu okręgowego był obłispołkom - urząd wojewódzki. Od strony gimnazjum często jeździły tam samochody. Na zakępcie w pobliżu gimnazjum samochody zwalniały bieg. Wykorzystywaliśmy moment i siadaliśmy na tylny zderzak samochodu osobowego i trzymaliśmy się za koło zapasowe, które w ówczesnych samochodach z reguły było z tyłu. Kierowca widać zauważył i dał kierownicą w lewo i prawo, a ja znalazłem się na kocich łbách, zamiatając zabłoconą ulicę na długości może kilkunastu metrów. W następnym dniu nie poszedłem do szkoły a na wagary - w wagonie kolejowym ryżową szczotką czyściłem płaszcz, a miałem co czyścić.

W Bezdzieżu otwarto nową szkołę radziecką, tak zwaną niepełną szkołę średnią, w perspektywie siedmioklasową, co w porównaniu z polską szkołą przedwojenną miało się równać czterem klasom gimnazjum /mała matura/. Pod koniec roku szkolnego 1939/40 poszedłem do klasy piątej. Czytać po rosyjsku już trochę umiałem. Chciałem jako wolny słuchacz trochę się poduczyć, by w roku 1940/41 być już pełnoprawnym uczniem tej szkoły. Do szkoły poszedłem jeszcze i z innego powodu. Gdybym nie poszedł, wyznaczono by mi normę wyrębu drzewa w lesie, które w ramach umowy handlowej szło do zaprzyjaźnionych Niemiec. Zaprzyjaźniłem się z woźnym szkolnym, dzięki czemu mogłem ze strychu szkolnego wynieść i uratować wiele książek z biblioteki szkolnej, między innymi trylogię H. Sienkiewicza, którą mam i cenię do dziś, oraz Pisma Zebrane J. Piłsudskiego, które w późniejszym czasie, już po wojnie, musiałem zniszczyć, a szkoda.

Moja nauka w szkole rosyjskiej rozpoczęła się raczej komicznie. Słowo pan było potępione. Zwracano się w stosunkach urzędowych per towarzysz. To miało świadczyć, że wszyscy są sobie równi. Wśród równych już wtedy byli i równiejsi. W szkole jednak między dziećmi i nauczycielami obowiązywało zwracanie się per bratradziarinnastaunik, po białorusku lub grażdanin uczytiel po rosyjsku, co oznaczało obywatelu nauczycielu. Ja tego nie wiedziałem, a skoro wiedziałem, że wszyscy są równi, do matematyka Piskunowa odezwałem się towarzysz. Było kupa śmiechu. Nauczyciel ten, co prawda, był ode mnie może o 3-4 lata starszy. Fajny z niego był chłop, gdy zobaczył kogoś z rowerem zostawiał nas samych w klasie, a leciał uczyć się jeździć na rowerze. Chętnie wyglądaliśmy przez okno, by zobaczyć, czy ktoś nie przyjechał rowerem do sielsowietu. Chodził z chłopakami na wieczorki i czasem coś niecoś powiedział, choćby to, że jedną nogą trafił do raju, ale wkrótce już wróci do piekła, bo był poborowym i pojedzie do armii. Tak się i stało. Po nim algebry uczył mnie pan Federbusz - polski Żyd, który uciekł do Bezdzieża przed Niemcami. Żydzi źle mówili po polsku i tak samo i po rosyjsku. Kiedyś pisząc, a raczej rozwiązując jakieś zadanie przy tablicy zapytał mnie, czy to co napisałem jest większe czy mniejsze od czegoś tam, już nie pamiętam /bolsze czy mniejsze/. Ja niechcący wymówiłem "mniejsze" tak jak to wymawiają Żydzi, klasa parsknęła śmiechem, mnie było przykro, nie chciałem go urazić. W 1941 roku został wywieziony na Sybir. Był mądrym nauczycielem. Zsyłka może go uratowała. Niemcy by go zamordowali. Przed wojną chwalił Polskę. Później chwalił ustrój radziecki - on przecież nie utracił Ojczyzny. Nie wiele mu to pomogło. Pojechał na Syberię tak jak wielu innych.

W szkole tej miałem i inną nazwijmy to przygodę. W listopadzie 1940 roku na akademii z okazji XXIII rocznicy rewolucji miałem zadanie napisać na rolce tapety hasło "Niech żyje niezwyciężona Czerwona Armia" i zamiast niepokonana - niezwyciężona, napisałem niepojedynana - można by to przełumaczyć ta, której zjeść nie można. Po powieszeniu hasła na ścianie na kilkanaście minut przed akademią zauważyłem błąd, udało mi się zakleić część wyrazu i naprawić błąd. Bałem się, że zostanie to potraktowane jako wroga robota. Jakoś się udało.

Dyrektorem szkoły był Aleksiej Mamontow, rodem gdzieś z Woroneża. Białoruskiego uczyła Nadieżda Iwanowna Kutuzowna, zresztą szkoła to była białoruska i językiem wykładowym miał być białoruski, ale nikt go prócz niej nie znał i uczone po rosyjsku. Uczył również emerytowany carski nauczyciel Dorohokupiec i kilku innych polskich nauczycieli, którym było trudne mówić i po rosyjsku, sami się z trudem tego języka uczyli /pan Marzec/.

Uczyłem się dobrze. W szóstej klasie miałem same piątki i ja i brat Józio. Na koniec roku dostaliśmy jednak po jednej ocenie dobrej. Wszystkie oceny bardzo dobre dawały przywilej przy dalszej nauce. Nie można było tych przywilejów dać synom kułaka.

Kiedyś, nie pamiętam już w jaki sposób, zapaliła się sadza w szkole. Całe szczęście, że szybko wyjaśniono, że sprawcą był syn aktywisty Teodor Łukaszczyk. Jeżeli by nie wyjaśniono sabotaż mógłby być przypisany Jelcom. Tenże sam Teodor Łukaszczyk przez głupotę kiedyś podpalił samochód kina objazdowego, z którego kapłała benzyna. Ugasiliśmy śniegiem.

W piątej i szóstej klasie szkoły radzieckiej byłem, jak już wspominałem, z bratem Józefem. Czasem, gdy odrobiłem zadanie domowe, odpisał ode mnie, a małe tego dał odpisać koledze swemu Romkowi Boryczewskiemu, nie za darmo - dostał od niego jabłka, którymi solidarnie i ze mną się dzielił. Nie chcę tu powiedzieć, że nie potrafił zadań sam rozwiązać, nie, ale odpisać zawsze było łatwiej i szybciej. Chcę tu podkreślić jego zdolności organizatorskie i ekonomiczne, jakie już się przejawiały.

Życie na wsi musiało się jednak jakoś toczyć. Z czasem przywieźli i naftę i sól. Złe było z wieloma artykułami. W ciągu dwóch lat władzy radzieckiej mogłem kupić sobie trzewiki na podeszwie z kartonu przesączonego smołą, czy czymś podobnym. Kupiłem je dzięki temu, że się dobrze uczyłem i kierownik szkoły zdecydował - we wsi buty mnie się należą.

W połowie lutego 1940 r. w najcięższe mrozy, nastąpiła pierwsza wywózka elementu niepewnego na Sybir i na Północ. W nocy NKWD zabrało z domu leśniczego Wasilewskiego Wacława, Czesio, jego syn, a mój kolega, był w Pińsku w szkole, jak się dowiedział doznał rodziców gdzieś po drodze. Wywiezione również gajowego Adanczyka, żonę komendanta posterunku panią Millerową z dziećmi, panią Januszkiewiczową - staruszkę, żonę mojego wychowawcy ze szkoły p. Ratajczakową i z okolicy wielu innych. W pierwszej turze wywożone rodziny policji, administracji leśnej, osadników wojskowych, oficerów i czołowych działaczy polskich, z resztą nie tylko czołowych. Wywózka odbywała się jednocześnie w całym powiecie, a może nawet i na całym przyłączonym obszarze. W pierwszej turze objęła prawie samych Polaków, następnie obejmowała i miejscowych Białorusinów, często trudne było pojąć za co, NKWD przychodziło w nocy, kazali się ubierać, czas był krótki i nie wiele ze sobą można było zabrać. Od tej pory każdej nocy byliśmy przygotowani na zsyłkę. Kładąc się spać ubranie było przygotowane, by szybko się ubrać, inne rzeczy też. Jeżeli w nocy jechał samochód przez wieś, noc była już nie pewna. Mogło być to NKWD i czekaliśmy, że przyjdą po nas. Z czasem Ojciec wyznaczał mnie i Józia na straż. Po południu do wieczora pilnowaliśmy, czy przewodniczący sielsowietu Puczek wracał do domu. Jeżeli wracał uważaliśmy, że noc będzie spokojna. Jeżeli nie wracał, a często gdzieś zapił, myśleliśmy, że czeka na NKWD, a nie daj Boże, w taką noc przejechał przez wieś samochód. Jakiś jednak wywózka nas ominęła. Przed samą wojną radziecko-niemiecką wiosną 1941 r. była ostatnia wywózka, w której wywieziony został i mój nauczyciel Żyd Federbusz, zdawałoby się wielki sympatyk władzy radzieckiej. Że wywożono na Sybir, do Kazachstanu lub pod Archangielsk, dowiadywaliśmy się po kilku miesiącach, jak przychodziły błagalne listy proszące o pomoc żywnościową. Wysyłano paczki, ale najlepiej z odległych urzędów pocztowych, gdzie nikt nikogo nie znał. Proszono o tłuszcz i cebulę, bo szybko ludzie zapadali na szkerbát.

Szerzone nienawiść do Polaków. Uważano ich za wyzyskiwaczy i krwiopicjów narodu białoruskiego. Niektórym Polakom chłopom wmawiano, że nie są Polakami a Białorusinami katolikami, nas Jeleców zaliczono do Polaków i to do tych wrogów ludu - kułaków. Ojciec tłumaczył się, że co to za kułak co nie ma nawet własnego konia. Nie na wiele to się zdało. Kazano zapłacić podatek nie wiem za co i dlaczego, w żadnym prawie to się nie mieściło, od 1932 roku. Ojciec sprzedał jedną z dwóch krów na podatek. Nie załatwiło to jednak sprawy. Propaganda mówiła u nas podatków nie ma, kazano jednak płacić nałóg, co zanczyło to samo.

Podatki płacono w gotówce, mięsem i zbożem. Każdemu wyznaczano plan, często ponad realne możliwości, po to tylko, by go zniszczyć. Sąsiad Racyk, uznany za kułaka, gdy nie mógł się już wywiązać z nałożonych podatków został osadzony w więzieniu.

Upaństwowiono nasz młyn. Właściciele nie mogli w nim pracować. Ojciec, by nie nękało go NKWD na skutek donosów miejscowych kacyków, przeniósł się do Drobotów. /wieś ok. 7-8 km od Bemdzieża/ i tam pracował jako księgowy w przedsiębiorstwie zajmującym się ściąganiem w lesie żywicy z drzew przeznaczonych na wyręb. To mu dawało, jak by na uboczu, spokojniejszy żywot.

Gdy życie jako-takie się ustabilizowało stryjek Stefan napisał list do Dniepropietrowska i nadeszła odpowiedź. Jego i Ojca stryjeczny brat Anatoliusz i siostra Lidia żyją. Stryjek Michał już umarł. Posyłałiśmy im paczki. Cieszyli się bardzo. Po latach zasmakowali słoniny. Po 1944 roku ślad po nich zaginął.

Wszędzie było pełno szpiegów. Jeżeli ktoś z kims się często spotykał, szybko NKWD jednego i drugiego pytało o czym rozmawiają. Przez NKWD wyznaczeni byli "dziesiątdworniki", musieli oni zbierać wszystkie wiadomości o dziesięciu wyznaczonych domach i informować NKWD. Czasem do nas przychodził pan Marzec - kierownik szkoły z przed wojny, a ówczesny nauczyciel, ojciec tłumaczył, że rozmawiali o nauce dzieci w szkole, a tymczasem jak tu nie było porozmawiać i pobiedować i ewentualnie jeden drugiego pocieszyć, że nadejdą lepsze czasy, wojna przecież nie skończona, trwa. Na Zachodzie jest przecież polski rząd i armia. Niestety nie było innej rady, trzeba było oficjalnie chwalić mądrość i dobroć Stalina.

Szczególną troską otoczony był ksiądz Tomaszewski. Na plebanii u niego była prawie stała warta. Siedziały bezczelnie w kuchni dzieci jednego działacza i śledziły, kto do księdza przychodzi. Działacza tego później w roku 1943 partyzanci radzieccy rozstrzelali, ku ogólnej radości mieszkańców. W 1939 roku obrabowywał on polskich żołnierzy wracających z frontu do domu. Po jakimś czasie ksiądz Tomaszewski znikł. Potajemnie wyjechał w rodzinne strony pod Suchowolę, która też była w strefie radzieckiej. Początkowo była pogłoska, że uciekł przed aresztowaniem, ale nie wygląda na to, bo nie sztuka było go aresztować i w Suchowoli.

Życie, jakie się wytworzyło, wielu początkowo sympatykom, zaczęło się nie podobać, to też coraz więcej ludzi czekało, na odmianną, że przyjdą Niemcy i będzie może lepiej. Pamiętali Niemców z

czasów pierwszej wojny światowej.

Pod Janowem budowane lotnisko polowe. Budowali je wyznaczeni z każdej wsi robotnicy i również więźniowie. Więźniowie ci byli trzymani w szczerym polu za drutami kolczastymi pod gołym niebem. Sam to widziałem. Na budowanym lotnisku zgromadzone duże ilości cementu i soli. Było ^{później} to dla ludności dużym skarbem. Sól przydała się na czas okupacji niemieckiej, a cement przydał się do budowy przede wszystkim piwnic-ukryć.

Radio, chociaż słuchawkowe, mieliśmy i Ojciec i stryjek. Nie sposób było nie słuchać, co się dzieje w świecie, a wieści raczej były złe. Gazety jedynie zachłystywały się sukcesami, których jednak dotknąć nie było można. Czasem Ojciec usłyszał jakąś wiadomość, z której próbował wysnuć jakieś pozytywne wnioski. Stryjek, zaś chciałby tego samego, ale naturę miał bardziej pesymistyczną, a raczej realistyczną i bardziej adekwatną do takich czasów, gdy powiedział swoje powstawała sprzeczka. Często pragnęliśmy wszyscy i stryjek też tego o czym marzył Ojciec, ale najczęściej ściej sprawdzało się to co przewidywał stryjek.

Wiosną 1941 roku ludzie przywozili z Drohiczyna wieści, że w kierunku na Brześć nocami idzie wojsko. Wywożone z lasów drzewo szło w dalszym ciągu do Niemiec. Na początku czerwca 1941 roku, sam a słyszałem, radio podało zarzeczenie TASS-a podające, że turecka agencja prasowa twierdzi, iż Niemcy koncentrują wojska w pobliżu granic ZSRR. TASS ogłosił, że to jest kłamstwo, że Niemcy są w dobrych stosunkach z ZSRR, a jeżeli nawet jakieś wojska przy tej granicy są, to są one na odpeczynku bo tam jest najspokojniej. Jak było naprawdę przekonaliśmy się niebawem.

OKUPACJA NIEMIECKA

22 czerwca 1941 roku była niedziela i piękna pogoda. Stałem ze stryjkiem Stefanem i bodajże bratem Józefem przed domem. Miałem iść do kościoła. Księdza w Bezdzieżu wprawdzie nie było, ale w niedzielę katolicy zbierali się w kościele na modlitwy i śpiewy liturgiczne. W domu był ojciec i słuchał radia. Wybiegł z domu i mówi do nas, że stało się coś bardzo ważnego - zaraz przemówi w radio Mołotow. Mołotow był ^{wice}premierem i ministrem spraw zagranicznych. W ZSRR był taki zwyczaj, że jeżeli miał przemawiać jakiś dygnitarz to radio zapowiadało o tym przez kilka dni wcześniej. Tym razem wcześniejszej zapowiedzi nie było. Rozdzieliliśmy słuchawki każdemu na jedno ucho. Równie o godz. 12.00 przemówił Mołotow i powiadomił, że w dniu dzisiejszym "Niemcy w zdradziecki sposób napadli na nasz kraj. Zbombardowali Kijów, Mińsk, Odessę, Wilno i szereg innych miast...". Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć. Skończyła się sowiecko-niemiecka przyjaźń. Sowieków mieliśmy dość - strach przed wywózką i innymi prześladowaniami, ale i w Niemczech nie można było upatrywać przyjaźni. Postanowiliśmy przede wszystkim poza rodziną milczeć. Niech ludzie o tym dowiedzą się nie od nas, diabeł wie co będzie dalej. Można popełnić jakiś błąd, jakąś nieostrożność, która może być przekreślona i przeciwko nam obrócona. Nie pamiętam, czy poszedłem już do kościoła. Po godzinie o wojnie wiedziała już cała wieś. Mieszkańcy dowiedzieli się, wychodząc z cerkwi. Do Bezdzieża w tym czasie jechał wiceprzewodniczący rejonowej rady narodowej /jak na nasze niedawne czasy - zastępca naczelnika powiatu/ Żyd Fonkac. O wybuchu wojny dowiedział się już w Bezdzieżu. Kazał zwołać wiec i ogłosił, że Armia Czerwona zajęła już Białą Podlaskę. Oczywiście był to jego osobisty propagandowy wymysł. Natychmiast wrócił do Drohiczyna. Ludność wiadomość o wojnie przyjęła raczej z entuzjazmem. Niejeden na to konto dobrze popił i podchmielony odważnie głosił, że "propała sowiecka własność". Trzeba było mieć odwagę a raczej być głupim, by w pierwszych godzinach wojny tak mówić. Po południu na wesele, czy też wiejską zabawę w Zatoczcu samoloty z dużej wysokości zrzuciły kilka bomb dla postrachu, nie wyrządzając większych strat. W tymże dniu lub w następnym ogłoszono mobilizację. Bezdzieżanie, z niechęcią, musieli jednak zgłaszać się do wojenkomatu. Gdy przychodzili, wojenkomatu w Drohiczynie już nie było. Wyniósł się w zapasowe miejsce pracy, ale powoływani potraktowali to, że uciekł i nie starali się go łatwo odnaleźć, a po paru dniach naprawdę go już nie było.

Od poniedziałku 23 czerwca przez Bezdzież zaczęły jechać od Brześcia w kierunku wschodnim samochody z rodzinami wojskowycy. Kobiety z dziećmi w samochodach ciężarowych jechały na stojąco, ile ich tylko mogło się zmieścić. Niewiele mogły mieć bagażu. W następnych dniach szli już żołnierze z bronią i bez broni, pojedynczo i grupami ale nie zwartymi oddziałami - byli rozbici, głodni, czasem ranni. Nad Staromłynami /ok. 6 km na płn.zach.od Bezdzieża/ wywiązała się powietrzna bitwa. Zbity został samolot radziecki. Pilot wyskoczył ze spadochronem. Po kilku godzinach rozmawiałem z nim, siedł poparzony na wschód. Niewielu z uciekających wierzyło, że jeszcze powrócą. Szok był ogromny.

Gdy władze radzieckie opuszczały Drohiczyn, mieszkańcy zdemolowali budynek NKWD. Traf chciał, że do miasta wrócił prokurator Klebanow i naczelnik miasta. Ujawniwszy to wywnioskowali, że zrobili to Polacy /być może ?/. Zaczęli szukać w mieście Polaków. Doktora Koropatwińskiego chorego zabili na miejscu w łóżku /na pewno nie brał w tym udziału/. Kilkanaście innych osób rozstrzelali przy cmentarzu. Jednemu udało się uciec.

We czwartek rano przez Bezdzież od strony Chcmska przejechała kawaleria niemiecka, a od strony Zakletenia samochody pancerne. W Zakleteniu jakiś umyślowo niedorozwinięty młodzieniec bo-dajże uciekał od Niemców i wygrażał rękami. Został zastrzelony. Ludzie zorientowali się, że Niemcy nie postępują po ludzku od samego początku i to się już nie spodobało. Wojsko szło głównie po trasach Brześć - Pińsk, Kobryń - Bereza Kartuska - Baranowicze. Przez Bezdzież szły raczej drobne oddziały. Za Niemcami szli rozbici żołnierze radzieccy, często boso, z odparzonymi nogami. Niemcy napotykając ich rewidowali i zabierali do samochodów. Zdarzało się, że niektórzy szli jeszcze z bronią. Pamiętam jakiegoś Azjatę, który siedł z karabinem. Ludzie namawiają go, by rzucił broń, bo Niemcy go zabiją, a on na to "maja kamandir kazał dierży wintowku". Nie wiem, jak długo trzymał on ten karabin.

I znowu, nie pamiętam już szczegółów, jak zaczęto organizować władze administracyjne. Rosjanie Polesie po Kanał Królewski włączyli do Białorusi, Niemcy zaś Polesie po Jasiołdę włączyli do Rejchskomisariatu Ukrainy. Komisarzem okręgu w Kobryniu był Niemiec. Szefem powiatu w Drohiczynie Polak, podporządkowany Landwirtowi Niemcowi. Była żandarmeria niemiecka i SD - służba bezpieczeństwa. Zorganizowane policję z ochotników Ukraińców. Władze powiatowe, jeżeli można było to nazwać władzami, oparli Niemcy o przedwojennych polskich niedobitków z władz administracyjnych. Wójtem w Bezdzieżu został

przedwojenny wicewójt Grzegorz Karpik. Sekretarzem gminy był przedwojenny sekretarz gminy Ranachowski Wiktor. Gmina miała zasięg mniej więcej przedwojenny.

* Jednym z pierwszych zarządzeń, jakie wydali Niemcy, był nakaz zdania wszelkiej broni i odbiorników radiowych. Nie wiem, kto miał broń i kto ją zdał, ale odbiorniki radiowe miało wielu. Zdawali. Niemcy wydawali pokwitowania i tłukli je. Zdał i Ojciec. Przechowaliśmy jednak odbiornik radiowy lampowy, o którym nikt obcy nie wiedział, który zostawił nam komendant posterunku Miller w 1939 roku. Nie mogliśmy jednak z niego korzystać z braku baterii i akumulatora, a najistotniejsze było to, że nie znaleźliśmy się na tym. Był on zakopany przez całą wojnę. Niemcy swoje zarządzenia wydawali w formie obwieszczeń w języku niemieckim i polskim. Ukraińskiego w piśmie nikt nie znał. Jak na ironię jedno z zarządzeń głosiło, by nie obierać kartofli wieczorem, jeżeli mają być gotowane następnego dnia, bo to szkodliwe dla zdrowia. To była troska o ludzi !?

Pan Józef Marzec - przedwojenny polski kierownik szkoły otworzył szkołę polską. Nie pamiętam, jak długo ona trwała i kto do niej chodził. Przez jakiś czas chodziłem do niej. ^{ja, brat i siostra} Pamiętam - uczył o Reju i o Kochanowskim.

Odzyskaliśmy zabrany przez sowietów młyn. Przez jakiś czas on nawet pracował. Do domu przeprowadziłem linię elektryczną, gdyż za sowietów zainstalowane zostało dynamo. Prąd był tylko jak młyn pracował. Młyn jednak szybko został unieruchomiony z braku paliwa.

Niemcy nakładali na ludność obowiązki dostaw mięsa, jajek, zboża, a przed zimą i pewnej ilości kożuchów i sań. Z kożuchów trzeba było wywiązywać się wspólnie. Pozostałe kontyngenty były wyznaczane przez gminę indywidualnie.

Wkrótce przystąpiono do wywózki młodzieży na przymusowe roboty do Niemiec. Na początku wyznaczali, ilu z gminy. Imiennie mieli wyznaczyć wójtowie. Wójtowie wyznaczali w pierwszej kolejności byłych żołnierzy radzieckich, którzy nie zdążyli uciec przed Niemcami na wschód i pozostali u gospodarzy za parobków. Żołnierze ci zamiast do Niemiec uciekli do lasów i to, przynajmniej na tych terenach stało się zalążkiem partyzantki radzieckiej. Dołączyli do nich i inni byli działacze z okresu władzy radzieckiej, poszukiwani przez Niemców.

Na przymusowe roboty wywiezieni zostali z czasem również niektórzy moi koledzy i koleżanki. Pierwsze transporty rozlokowane zostały u gospodarzy, ale wielu następnych znalazło się w obozach pracy. Nie wszyscy wrócili. Wielu w różnych niewiadomych okolicznościach zginęło.

Od samego początku okupacji Niemcy przystąpili do prześladowania Żydów. Nie pamiętam, czy w Chomsku i Drohiczynie umieszczono ich w gettach, ale od razu zostali oznakowani, Żydzi mieli obowiązek nosić na rękawie białą opaskę z gwiazdą syjonu. Później gwiazdę tę naszywali na piersiach i bodajże na plecach, już nie pamiętam. Niemcy używali Żydów do najcięższych i hańbiących robót. Żydom nie wolno było chodzić chodnikami. Musieli chodzić rysztokiem. W Drohiczynie zdemolowano żydowski cmentarz. Z nagrobkowych pomników kazano im ułożyć chodnik na głównej ulicy. Kiedy bywałem w Drohiczynie omijałem ten chodnik, nie stąpiłem nigdy na te kamienne płyty. Nie chodził po nich żaden porządny człowiek. W Bezdzieżu mieszkał od dawna tylko jeden Żyd z żoną Mowsza Czyż. Pomimo że wszystkim było źle, współczuliśmy mu najbardziej, choć nikt go w Bezdzieżu nie prześladował.

Chyba było to pod koniec lata, ale na pewno w niedzielę na świętego Eliasza, bo w bezdzieskiej cerkwi był odpust, Niemcy przyjechali do Chomska i spędzili wszystkich Żydów do Synagogi. Wybrali kilku zdrowych i kazali za miasteczkiem po prawej stronie od drogi w kierunku na Staromłynny kopać duży długi dół. Sprawa stawała się oczywista. Tych, co wykopali, zastrzelili w tym dole. Następnie zapędzili wszystkich Żydów nad ten dół i tam rozstrzelali. Strzały z karabinów maszynowych było słychać w Bezdzieżu. Kilku Niemców na motocyklu przyjechało do Bezdzieża i rozstrzelali jedyną biedną rodzinę żydowską. Byli w Chomsku tacy zwyrodnialcy, którzy cieszyli się z mordowania Żydów, łakomiąc się na żydowski majątek. Żydzi im mówili przed śmiercią "dzisiaj nas a jutro was" i tak później się stało, ale o tym potem. Przy rozstrzeliwaniu Niemcy wykorzystywali miejscowych zwyrodnialców. Dawali im broń do mordowania Żydów, robili zdjęcia, natychmiast wywoływali i w butelkach zakopywali razem z pomordowanymi. Zamordowanych zostało w tym dniu około dwóch tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

Niektórym Żydom udało się ująć z życiem. Między nimi był nasz dobry znajomy Żyd Herszko /Melamed Hersz/. Poszedł on do partyzantów i później często nas odwiedzał. Przed wojną obwoźnie sprzedawał on mięso i nigdy nie martwił się jak nie miał Ojciec pieniędzy - mówił jak będziesz miał to zapłacisz. Za następnym razem Ojciec płacił dług. Do dziś go dobrze wspominam.

W Drohiczynie był taki zwyrodnialec, co przechowywał Żyda dopóki ten płacił mu złotem, a jak Żyd nie miał już nic, zaprowadził go i oddał w ręce Niemców. Niemcy Żyda rozstrzelali a Ukraińca publicznie powiesili. Nikt go nie żałował. Byli i tacy, co przechowywali z narażeniem własnego życia Żydów do końca, do ucieczki Niemców w 1944 roku.

Po wymordowaniu Żydów w Drohiczynie Niemcy w szpitalu pozostawili lekarza Żyda doktora Lampela. Ten nie mógł przeżyć tego, co się stało i nie czakając na swój późniejszy koniec, zażył truciznę. Niemcy, gdy się dowiedzieli o tym, dobili go.

- o -

Swoimi sukcesami na froncie Niemcy umieli się chwalić, W przypadku większych zwycięstw wydawali plakaty obwieszczające ich zwycięstwa. Pamiętam jednego razu w Drohiczynie na stadion spędzono wszystkich mieszkańców i przyjezdnych, a był to zdaje się dzień targowy, wśród których znalazłem się również. Stadion dookoła obskawiony był karabinami maszynowymi. Nie wyglądało to jednak tragicznie, gdyż karabiny skierowane były na zewnątrz, a na stadionie zbudowana była trybuna i dekoracje niemieckie. Nie wiedzieliśmy jednak do ostatka o co chodzi. Po jakimś czasie na stadion weszli Niemcy, a wśród nich Komisarz Rzeszy na Ukrainę Erich Koch. Miał przemówienie tłumaczone na język polski nawołujące do posłuszeństwa Niemcom wyzwolicieli od komunizmu z którym obiecał, że Niemcy rozprawią się w ciągu trzech - czterech miesięcy. Mniej więcej w tym czasie wyjaśniło się, że ta rozprawa nie będzie znów taka prosta. Erich Koch przed kilkoma laty w wieku ponad dziewięćdziesiąt lat zmarł w polskim więzieniu w Barczewie, jako jeden z głównych zbrodniarzy niemieckich skazany na karę śmierci. Wyrok na nim przez czterdzieści lat nie był wykonany z powodu jego choroby. Czy zdarzył się choć jeden przypadek, by Niemcy z powodu choroby nie rozstrzelali Polaka? Strzelali chorych w pościeli.

Jesienią 1941 roku sołtys wsi Zastawie dostał polecenie wyznaczyć kilkanaście osób do okopcowania kartofli na stacji w Drohiczynie. Osoby wyznaczone nie poszły w terminie, mówiąc kłoby to w niedzielę pracował. Pójdziemy w poniedziałek. Niemcy zażądali od sołtysa wykaz wyznaczonych osób, a tym kazano stawić się w Drohiczynie. Wszyscy zostali rozstrzelani, wśród nich koleżanka moja ze szkoły Rodak Olga.

Naród się zdyscyplinował, ale gdy się przekonano, że za drobne przewinienia Niemcy rozstrzelują i palą wsie, ludzie dochodzili do

wniosku, że posłuszeństwo też nie na wiele się przydaje. Kto tylko był nieco podejrzany chował się lub szedł do partyzantki.

Najpotrzebniejszych artykułów nie można było kupić. Speculanci machorkę przywozili gdzieś spod Grodna. Tylko przez to nie nauczyłem się palić widząc mękę palaczy palących liście z drzew i oddających ostatnie zboże, bo była to waluta, za tyteń zostawiając czasem dzieci głodne. Szczęście, że była sól. Wielu zaopatrzyło się w nią po ucieczce sowietów, którzy, jak wspominałem, gromadzili sól na budowanych w okolicy /pod Janowem/ lotnisku polowym. Ubój świń bez zezwolenia był zakazany. Hodowano świnię poza ewidencją. Ten prosiak, który był na ewidencji, często nie mógł wyrósć lub zdychał. Zabijana świnia nigdy nie pisnęła. Dostawała obuchem w łeb i nie było krzyku.

Niemcy na mieszkańców nakładali kontyngenty zboża i innych produktów żywnościowych. Początkowo ludność, choć nigdy z chęcią, wywiązywała się z zadań. Później partyzanci utrudniali oddawanie kontyngentów, niszczyli lub je zabierali. Niemcy stosowali represje. Partyzanci niszczyli urzędy gminne i posterunki. W Bezdzieżu pewnej nocy spalili urząd gminny i posterunek policji ukraińskiej. Policjantów ochotników rozstrzelali i spalili, a policjantów wziętych z przymusu do służby w policji wzięli do siebie. Byli oni również partyzantami. Posterunek był w drewnianym budynku urzędu gminnego. Dookoła budynku policjanci pobudowali podwójne dreniane ściany ze strzelnicami, wypełniając je ziemią. Na niewiele to się zdało. Posterunek przez partyzantów został zlikwidowany. Urząd gminny Niemcy przenieśli do Drohiczyna. Mniej więcej w tym samym czasie partyzanci zlikwidowali urzędy gminne i posterunki w Chemsku, Motolu oraz w innych miejscowościach. W dzień jeszcze rządzą Niemcy. Większymi grupami przyjeżdżali po odbiór kontyngentów. Noc należała do partyzantów. Wśród partyzantów byli prawdziwi żołnierze, ale pod partyzantów podszywali się również i różni rabusie, którzy chcieli się obłowić. I jedni i drudzy byli ograbionej już i biednej ledwie wegetującej ludności dokuczliwi. Zabierali resztę żywności, często ostatnią krowę, tak jak u nas, tłumacząc to tym, by Niemiec nie zabrał.

Niemcy nasilili terror. Za niewywiązywanie się z obowiązków dostarczania kontyngentów rozstrzeliwali mieszkańców, nie wyłączając dzieci, palili całe wsie. Drastycznym przykładem wieś Seroćnie w bezdzieskiej gminie. Nocą okrążyli się, ludność wystrzelali, a zabudowania spalili. Nie był to odosobniony przypadek.

Dochodziły do nas słuchy o mordowaniu Polaków przez banderowców na Wołyniu. U nas banderowców nie było, choć nie znaczy to, że nie znaleźliby się tacy, co by mordowali Polaków - brak było klimatu i im odwagi. W Bezdzieżu i okolicznych wsiach zapanowali niepodzielnie partyzanci radzieccy. Mieliśmy już więcej wiadomości z frontu. Partyzanci rozdawali komunikaty radiowe drukowane na powielaczach. Czasem można było dostać i moskiewskie gazety. Bezdzież był partyzancką prowincją. Stolicą ich były nieprzebyte błota w okolicach Obrowa, Żytli-
na, Wóli Obrowskiej, Korycznia, a później i Sporowa, 20 - 30 km. na północ od Bezdzieża. W tych okolicach posterunki zlikwidowane zostały na samym początku działalności partyzantów.

Niemcy do oddalonych od Drohiczyna o kilka lub kilkanaście kilometrów wsi robili wypadki większą siłą. Wtedy w Drohiczynie wyznaczali furmanki. Wywiad działał. Natychmiast powiadamiane były wsie. Ludność często się chowała, a szczególnie sympatycy partyzantów. Ponieważ nie było wiadomym dokąd Niemcy pojedą alarm ogłaszano w całym powiecie. Niemcy rozstrzeliwali podejrzanych o współpracę z partyzantami, palili ich domostwa. Partyzanci rozstrzeliwali podejrzanych o współpracę z Niemcami. Bez większych powodów można było zginąć tak od jednych jak i od drugich. W biały dzień partyzanci rozstrzelali dawnego aktywistę "Kota", tego właśnie, co obrabowywał z płaszczy i butów żołnierzy polskich w 1939 roku i następnie swoich synów posyłał na wartę do księdza Tomaszewskiego. ^Zastrzelili również jego najstarszego syna. Nikt ich nie żałował. Rodziny ukraińskich policjantów przeniosły się do Drohiczyna. Mieszkańców wsi, którzy przyjeżdżali do Drohiczyna, choćby na jarmark rozpoznawali i donosili Niemcom. Ci areztowywali i rozstrzeliwali jako partyzanckich wywiadowców.

Partyzanci utrudniali Niemcom zbieranie kontyngentów, ale przede wszystkim niszczyli tory kolejowe i wysadzali pociągi. Doszło do tego, że nie było nocy, by na linii Brześć - Pińsk lub Żabinka - Baranowice nie wyleciał w powietrze pociąg. Niemcy wycięli wszystkie drzewa i krzewy w odległości bodajże do 100 lub 150 metrów od torów i innych dróg. Wprowadzili patrole wzdłuż torów. Do pilnowania torów używano również miejscową ludność. Na niewiele to się zdało. Pociągi leciały w powietrze. Pilnujący musieli iść z partyzantami, bo od Niemców groziła im śmierć. W Drohiczynie w środku dnia prawie w samym mieście lokomotywa wyleciała w powietrze. Niemcy wobec partyzantów stawali się bezsilni, a tych przybywało.

Oddziały wycofywane z frontu na odpoczynek dyslokowano w ważniejszych miejscowościach jak np. w majątku w Opolu.

Pewnego letniego dnia 1943 roku przez Bezdzież przejechał niemiecki samochód od wschodu. Na cmentarzu ustawili Niemcy karabin maszynowy, a następnie oddział wojska wkroczył do wsi. Kto próbował uciekać zawrócił go karabin maszynowy. Niemcy spędzili ludzi na plac przy cerkwi, a sami zajęli się rewizją mieszkań. Na szczęście niczego podejrzanego nie znaleźli i wszystkich zwolnili. Pojechali do Chomska. Tam nie przeszło tak lekko. Musieli coś znaleźć. Mieszkańców, kto nie uciekł spędzili do cerkwi postrzelali i podpálili. Spełniły się proroctwa słowa mordowanych przed rokiem Żydów. Zarówno pozostali przy życiu mieszkańcy Chomska jak i wielu innych prześladowanych zasiliło szeregi partyzantów. Powstawały nowe oddziały łączone w brygady partyzanckie. Do dnia dzisiejszego zachowały się mi w pamięci nazwiska lub pseudonimy niektórych partyzantów jak Wasilij Cwietkow - komendant zwiadowczego oddziału, "Baćka", Waśka czy też Miszka "Czornyj". kapitan Bobkow - dowódca brygady. Wśród partyzantów znalazł się również "Pilula" - Piotr Markiewicz, zrzucony desantem z głębi Rosji - ten co w 1939 roku chciał rozstrzelać stryjka Stefana. Przez Bezdzież zimą 1943 lub 1944 roku przechodziła również dywizja partyzancka generała Kowpaka.

Partyzanci zalewali Niemcom sadła za skórę, to też Niemcy w różny sposób prowadzili z nim walkę. Partyzanci wysadzali w powietrze pociągi, niszczyli tory, likwidowali posterunki, palili majątki, przykładem czego był majątek Opol, dawna własność Bogusława Żaleskiego. Partyzanci spalili tam chlewnię, zboże, gorzelnię i urządzili zasadzki na Niemców między Opolem a Janowem Poleskim.

Niemcy postanowili rozliczyć się z partyzantami. Latem 1943 roku przez około trzydzieści dni codziennie bombardowali Sporów. Ludzie tam mieszkali już w ziemiankach. W polu pracowali tylko nocą. Po tym bombardowaniu byłem w Sporowie przy kopaniu okopów i umocnień dla partyzantów. Przydały się one. Partyzanci nie przepuścili Niemców później przez kilka dni odpierając ataki aż do zwycięstwa. W Sporowie na słowo "samolot" małe dzieci w kołysce podnosiły płacz. Wyciągając z jeziora drewno na umocnienia wyciągnęliśmy również bombę.

Jesienią tegoż roku Niemcy i Węgrzy otoczyli błota ze wszystkich stron i zimą przeszli przez nie. Nie niewiele to się zdało. Po tym, wydawałoby się pogromie, nie zabrakło nikogo ze znanych nam partyzantów. Węgrzy, zresztą, nie bardzo chcieli się angażować w walkę z partyzantami. Wehodzili z nimi nawet w niepisane układy. Jak nie musieli to ich nie zaczepiali i wzajemnie. Stacjonując w Bezdzieżu rozrzucali pod płotami i w zielsku granty, które

zbieraliśmy i przekazywaliśmy partyzantom. Poznałem jednego Węgra, który znał trochę język polski. Nauczył się od internowanych Polaków. Przekazywał nam informacje radia Londyn.

Gdy w Bezdzieżu stał garnizon węgierski, przyjechało SD /służba bezpieczeństwa/ z Drohiczyna i chcieli rozstrzelać wielu mieszkańców. Sprzeciwił się temu węgierski dowódca. Zdobył szacunek mieszkańców. Na niedługo. Za kilka dni przyjechali Niemcy znowu i rozstrzelali tego chcieli, między innymi jednego z naszych sąsiadów Pawłusia Charytonów /przezwiśko - nazwiska nie pamiętam/ oraz matkę mojego kolegi Wacia Januszozyka, który był w partyzantce. Było to 9 grudnia 1943 roku.

Innym razem inny oddział węgierski palił domy tych, co przed wojskiem uciekali. Było to tak: od strony Chomska do Bezdzieża jechali Węgrzy. Ponieważ przewidywali, że we wsi mogą być partyzanci, zalegli na cmentarzach. Rzeczywiście, partyzanci wysłali jednego konno na zwiad. Ten przed cmentarzem zauważył przebiegającego drogą węgierskiego żołnierza i zawrócił. Węgrzy otworzyli ogień, ranili partyzanta i konia. Partyzant uciekł, koń padł na sąsiednim od nas podwórku. Węgrzy po krwi doszli na to podwórko. Obok był opuszczony dom Pawłusia Giedrowcyszynoha. Podpalili jego dom. Podpalonego domu nie wolno było gasić. Można było gasić inne zabudowania, które same się zapaliły. Nie było to takie łatwe. Zabudowania przeważnie były kryte słomą, a było ciepło i sucho. Spaliły się przy tym obora i stodoła stryjka oraz nasza stodoła. Do dziś są ślady na zachowanym częściowo spalonym drzewie. Dom pozostał, bo był kryty gontami a młyn blachą.

Partyzanci kopali okopy między Bezdzieżem a Chomskiem. Używali do tego przede wszystkim mieszkańców Bezdzieża. Kopałem i ja. Później z tych okopów nie przepuścili Niemców do wsi. Dla ukrywania się od Niemców budowaliśmy schrony w polu. Tak maskowaliśmy, że nawet wejścia nie było widać. Mielismy taki schron na swoim polu. Pewnego razu, gdy partyzanci z tych okopów nie przepuścili Niemców do wsi, Niemcy i policjanci uciekali. Traf chciał, że droga ucieczki prowadziła ponad czymś schronem. To było przeżycie siedzieć w takim schronie.

W grudniu 1943 roku Wołyń był już prawie cały w rękach radzieckich. Sąsiedni powiat Kamień-Koszyrski również. Przez całą zimę było słyhać na południu potężne wybuchy. Front dawał znać o sobie gdzieś za Kanałem Królewskim.

Wiosną 1944 roku, zanim Niemcy weszli do Bezdzieża, przyleciało najpierw kilka samolotów i dokonało bombardowania. Powodem bombar-

dowania było chyba rozpoznanie kilku osiodłanych koni przy komendaturze partyzanckiej, gdzie powiewała czerwona flaga. Było kilku zabitych. Miałem z Józkiem w tym czasie zboże na mąkę w żarnach u znajomych na kolonii koło wsi. Huk żaren zagłuszał samoloty. Usłyszeliśmy dopiero wybuch pierwszej bomby. Niemcy strzelali również z karabinów maszynowych. Zabili wtedy ojca mojego kolegi /"Kaluza"/, który wybiegł z domu zobaczyć co się dzieje i naszą sąsiadkę biegnącą do schronu.

Innym znów razem alarmowanie zawiodło. Był mglisty dzień. Niemcy podpalił Zakletenie. Zorientowaliśmy się dopiero jak dolatywała do nas z wiatrem spalona słona ze strzech. Wtedy w czasie ucieczki z domu przez nasze pole „spadały tam posiłki artyleryjskie. Krzywda nikomu jednak się nie stała.

W dniach od 5 do 12 kwietnia 1944 roku w rejonie Zdzitowa stoczona została pomiędzy Niemcami a partyzantami brygady "Dowieckaja Biełoruś" /dowódca mjr Bobkow/ wielka bitwa. Partyzanci dzielnie się bronili. Zabili wielu Niemców.

Czym front był bliżej, tym częściej pojawiali się Niemcy. Gdy raz przyjechali do Bezdzieża, kilka rodzin, a wśród nich pan Józef Marzec z rodziną zabrali się do Drelichyna z zamiarem przedostania się do Generalnego Gubernatorstwa w rodzinne strony. Partyzanci zrobili zasadzkę w lesie w Zaprudach. Zabici zostali Piotr Sierżanowski z matką, która kiedyś była gospodynią u ks. Tomaszewskiego i żoną siostrą pani Marcowej.

- o -

Wiosną 1944 roku była już straszna nędza. Co się dawało zabierali Niemcy. Zabierali i partyzanci pod pretekstem, by nie zabrali Niemcy. Szerzyły się tyfus i czerwonka. Nie było dnia aby ktoś nie umarł. Często umierało i po kilka osób dziennie. Kupić nie już nie było można, ani soli, ani mydła ani cukru. Zamiast cukru wcześniej jeszcze od spekulantów można było dostać sacharynę. Teraz i tego nie było.

Pamiętam, pomagałem Mamie przy pracy w ogrodzie. Pamiętam Ją ostatni raz jeszcze zdrową w ogrodzie. Później mówiła pójdę się położyć bo głowa mnie bardzo boli. Przyszła silna gorączka. Po kilku dniach pojawiła się charakterystyczna wysypka. Było jasne - tyfus. Mama chorowała bardzo ciężko, a w domu była nędza. We wsi stali Niemcy. Ojciec znał trochę język niemiecki od pierwszej wojny. Poprosił wojskowego niemieckiego lekarza. Ten przychodził kilkakrotnie. Nie pomogło, gdy przyszedł któryś kolejny raz. Mama już nie żyła. Zmarła 30 maja 1944 r. około godziny czternastej. Pomimo wielu przeżyć wcześniej i później był to najsmutniejszy dzień w życiu. Ja miałem lat osiemnaście, ale Józio szesnaście, a Marysia dopiero lat trzynaście. W najbliższych

miesiącach została już tylko sama z Ojcem. W kilka dni po pogrzebie Mamy zarysowała się nadzieja na rychły koniec wojny. Alianci wylądowali w Normandii. Powiększało to jeszcze nasz żal, dla czego Mama nie mogła tego doczekać. Przecież koniec wojny wydawał się już bliski.

- o -

Oddziały niemieckie przychodziły i odchodziły. W międzyczasie partyzanci zabierali, co się da. Zabrali nam ostatnią krowę. Pogłębiło to jeszcze i tak już istniejącą nędzę. Pamiętam owdowiałego Ojca zrozpaczonego, że nie ma co dać dzieciom zjeść.

Na początku lipca 1944 roku wczesnym rankiem przybył do Bezdzieża oddział niemiecki. Ponieważ umówiony byłem pomóc sąsiadom zbierać siano, z grabiami w ręku szedłem do pracy. Niemcy, w tym czasie rozstawiali posterunki wokół wsi. Nie zaczepili mnie - przepuścili. W południe kobiety przyniosły obiad i niemiłą wiadomość. Niemcy zabierają mężczyzn. Zabrali Ojca, stryjka i brata. Stryjka zwolnili, bo był chory i do kopania okopów się nie nadawał. Zabrzanych trzymano w stodole pod strażą. Kobiety przynosiły jedzenie im na drogę. Wartownicy się zmieniali. Józio użył fortelu. Poprosił od kogoś torbę i dał Ojcu. Mówi idź, a nowemu wartownikowi powiedz, żeś synowi jedzenie przynosił. Udało się. Józio uciekł dopiero gdzieś pod Biskupcem Reszelskim, o tym potem. Ja na noc do domu nie wróciłem. Spaliśmy w stogach siana na bagnach, tam gdzie Niemcy raczej dojść nie mogli. Wróciłem jak Niemcy ze wsi odeszli.

Gdy Niemcy do wsi przyszli następnym razem, trzeba było się chować. Chowaliśmy się na koloniach, zdaleka od dróg pomiędzy Bezdzieżem a Ładowieczanami. Siedziałem z Ojcem w dużym dole wykopanym w polu w zbożu. Przez pole jechało dwóch Niemców konno. Jeden do drugiego mówi - patrz jakiś dół w zbożu. Nie zajrzeli do niego, byłoby po nas.

W nocy z 14 na 15 lipca Niemcy zerwali mostek na rzeczce w Bezdzieżu. Był to znak, że Rosjanie blisko. Mieszkańcy Bezdzieża, kto żywy, uciekali do lasu na bagna Hrabowa. Szybko okazało się, że dłuższy pobyt jest trudny. Nie zabraliśmy ze sobą wielu potrzebnych przedmiotów. Wróciłem z kimś na kolonię, gdzie byliśmy dotychczas. W tym czasie do kolonii tej zbliżali się jacyś ludzie. Z daleka wyglądało, że są to własowcy. Schowałem się do znanego mi dołu. Szybko kobiety mnie wywołały. Okazało się, że byli to żołnierze radzieccy. Przywitaliśmy się i nie wiem o czym już rozmawialiśmy. Na pewno okazywaliśmy swą radość. Nie zabierałem już żadnych potrzebnych rzeczy, a nie pamiętam z jakąś dziewczyną, spieszyliśmy do swoich powiadomić o nadejściu Rosjan.

Od bagien i lasu dzieliła nas ogromna łąka długości i szerokości kilka kilometrów. Gdy weszliśmy na tę łąkę wywiązała się strzelanina. Niemcy od Bezdzieżskiego cmentarza siali ogniem karabinów maszynowych. Kule świstały obok nas. Upadliśmy na ziemię, ale patrzyliśmy Rosjanie idą do przodu, jakby byli głusi, jakby nie słyszeli żadnych strzałów i nawet sami nie strzelają. I tak Rosjanie idą ze wschodu na zachód, a my patrząc na to, że ogień nie czyni żadnych szkód, pobiegliśmy z południa na północ do swoich. Nic nam się nie stało. Powiadomiliśmy rodziny. Bój jeszcze trwał. Po tym, jak się uspokoiło, wróciliśmy do domu, gdzie już zastaliśmy gospodarujących Rosjan. Obok u Juchima stał sztab radzieckiej dywizji. Żołnierze nie odpoczywali długo: Poszli dalej na zachód. Byliśmy wolni od Niemców.

NASZE DROGI DO OLECKA

Pierwszym zadaniem jakie Rosjanie postawili po wypędzeniu Niemców była odbudowa linii kolejowych całkowicie zdewastowanych przez cofające się oddziały niemieckie. Do odbudowy kolei użyte prawie wszystkich zdolnych do pracy mieszkańców nawet z odległych wsi i również kosztem opóźnienia mobilizacji do armii. Na odbudowie linii kolejowej pomiędzy Drohiczynem a Janowem Poleskim przez kilka tygodni pracował i Ojciec.

Mniej więcej po miesiącu zostałem powołany do wojska. Ojciec z Marysią pozostali sami. Stało się jasne, że Polska Ziemia Wschodnie utraciła. Granica będzie na Bugu. Trzeba będzie opuścić rodzinne strony. W maju 1945 roku zakończyła się wojna. Życie jednak nadal pozostawało bardzo ciężkie, szczególnie w takiej rozbitej rodzinie. W tej sytuacji Ojciec ożenił się powtórnie. Było to jedyne rozsądne wyjście z trudnej sytuacji w jakiej był z czterdziestoletnią córką.

Wielokrotnie pisałem z wojska do nich, aby wyjeżdżali do Polski. Namawiałem również i stryjka Stefana. Stryjek bardzo chciał, ale mocno się wahał, gdyż wiedział, że życia mu niewiele zostało, a dzieci miał małe. Ostatecznie w 1946 roku wyjechał tylko Ojciec z Marysią. Ojciec wiedział już, że Józio jest u księdza Tomaszewskiego na gospodarstwie pod Suchowolą, a ksiądz Tomaszewski był już proboszczem w Olecku. Stąd za wszelką cenę chciał do Olecka. Wszak w nieznanym świecie będzie jeden dobry znajomy przyjaciel. W końcu czerwca 1946 roku był już w Olecku.

- o -

Na początku lipca 1944 roku, o czym już wspominałem, Józio został zabrany przez Niemców do kopania okopów i pędzony był na zachód. W okolicach miasteczka Mordy na Podlasiu wraz z kolegą, będąc zamknięci w stodole na noc, zrobili podkop i uciekli. W pobliskiej wsi zostali ponownie złapani. Szczęściem przez inny oddział, bo by byli rozstrzelani. I znów pędzony do kopania okopów, ale w oddziale tym nie było już znajomych Bezdzieżan, a jedynie obcy współtowarzysze niedoli. Udało mu się zwać dopiero w okolicach Biskupca Reszelskiego. Tam dostał się do Rosjan. Z Rosjanami pędził krowy z Prus Wschodnich do Rosji. Za noclegi gospodarzem płacił krowami. W drodze dowiedział się, że Bezdzież pozostaje poza granicą Polski. Zdecydował się udać do Laudańszczyzny koło Suchowoli do księdza Tomaszewskiego, a było to mu prawie po drodze i tam się zatrzymał na czas bliżej nie określony.

Ksiądz Tomaszewski miał mój adres, bo napisałem do niego z wojska z Białegostoku w październiku 1944 roku. Józio już dowiedział się o mnie. Stąd też poszły wiadomości do Bezdzieżą. To kierowało Ojca później w stronę Olecka, dokąd wyjechał ksiądz Tomaszewski. Po przyjeździe Ojca do Olecka wkrótce przybył tam też i Józio.

- o -

Moja droga do Olecka była nieco dłuższa. Jeżeli czas i zdrowie pozwoli, a pamięć nie zawiedzie, może spiszę ją kiedyś szczegółowo. W sierpniu 1944 roku powołany zostałem do wojska i we wrześniu byłem już w Białymstoku. Stąd napisałem list do księdza Tomaszewskiego. Z Białegostoku do Olecka moja droga prowadziła przez Bielsk Podlaski - Siemiatyże - Drohiczyn nad Bugiem - Mordy. Tu od Niemców uciekał Józio. Koło Międzyrzecza we wsi Misie postój około dwa miesiące - Boże Narodzenie i Nowy Rok. Dalej Radzyń - Koek /tu bili się w 1939 roku ostatni Polacy w tym i Bezdzieżanie/ - Dęblin - Pienki - Radom /tu defilada 2 lutego 1945 r./ Pomiędzy Radomiem i Piotrkowem Trybunalskim, gdzieś w okolicach Opoczna, ujrzelśmy straszne polejowisko, a na podobne przecież szliśmy. I znów dalej Łask - Zduńska Wola - Sieradz - Kalisz. Pamiętam nocleg w pałacu w majątku Klęka, gdzie spaliliśmy nanosząc do pałacu słomy. Swój to był obraz. W majątku tym kiedyś przebywał Mickiewicz, gdy szedł do powstania i tu się dowiedział o jego upadku. Następnie Jarocin - Kórnik - Poznań. W Poznaniu znów defilada całej drugiej armii. Znów marsz w kierunku frontu. Oborniki - Czarnków - Wielęń - Drezdenko. Zanosiliśmy się na kierunek berliński. Drezdenko było pierwszym miastem za przedwojenną granicą Polski. W Drezdenku pamiętam spanie w kredensie na dolnej półce, bo w pokoju pełnym żołnierzy innego miejsca już nie było. W okolicach Drezdenka postój około tygodnia i znowu marsz na południe pod Wrocław. Międzychód - Koścień - Leszno - Rawicz pod Trzebnicę. Tu w majątku Będkowo zastała nas Wielkanoc 1945 roku. Kopanie i spanie w okepach w okolicy wsi Piotrowiczki pod Wrocławiem. We Wrocławiu Niemcy. Dookoła Rosjanie, za nimi my. Po kilku dniach znowu marsz. Tym razem do konkretnego celu - nad Nysę Łużycką przez Oborniki Śląskie - Wołów - Lubin - Chocianów - Bolesławiec - Różów. Stąd już tylko kilka kilometrów do rzeki. Cały czas piechotą z plecakiem i bronią. Od Białegostoku przeszliśmy już 1650 kilometrów.

16 kwietnia 1945 roku front i forsowanie Nysy pod Rotenburgiem i dalej Horka - Nesky - Budziszyn - Pulsnitz. Byłem w kompanii ciężkich karabinów maszynowych.

Otrzymałem list od Józia. Ucieszyłem się bardzo, że on żyje i jest u księdza Tomaszewskiego. Była to dla mnie szczęśliwa wiadomość na trzy dni przed zranieniem. 25 kwietnia zostałem ranny w nogę na skraju lasu pod n. Rammenau. Tak blisko było już do Drezna. Koniec wojny był już bardzo widoczny i tak się chciało przeżyć go na froncie. Po zranieniu miałem jednak gorszą przeprawę niż na froncie. Niemcy i własowcy oteczyli transport rannych na odpoczynku i kto nie zdołał uciec, bestialsko wynordowali. Było to 26 kwietnia 1945 r. we wsi Herka na Łużycach. Uszedłem z życiem dzięki kolegom, którzy mnie wciągnęli do samochodu, bo chodzić sam nie mogłem. Szpital polowy był w nieczynnej cegielni w Gozdniocy. Stamtąd trafiłem do szpitala wojskowego w Poznaniu. Tu zastał mnie koniec wojny. Później byłem w szpitalu w Śrenie i po wyleczeniu z ran wypisany zostałem do swojej jednostki wojskowej. Szukając jednostki, o której wiedziałem, że jest w Rzeszowie, trafiłem do Łudańszczyzny pod Suchowolą do Józia, którego tak bardzo chciałem odwiedzić. Byłem tam miesiąc, później dopiero pojechałem do Rzeszowa. Tu w Rzeszowie, a potem w Przemyślu i znów w Rzeszowie w Samodzielnym Batalionie Szkolnym, z którym przemierzyłem Polskę i później front, a następnie w sztabie 9 Dywizji Piechoty, pełniłem służbę wojskową w różnych warunkach i spokojną i w walce z bandami UPA, które tam w pierwszych latach po wojnie tak jak i w czasie wojny bestialsko mordowały Polaków.

Latem 1946 roku, kiedy minęły dwa lata służby, kolega frontowy Rysio Koźlakowski /gdzieś spod Drelichyna rodem/ namówił mnie, by zostać podoficerem zawodowym, bo to i zarobki niezłe i do polityki nie trzeba się mieszać - wzięliśmy tak, jak to było przed wojną. Zostaliśmy obaj.

Dotarłem wiadomość, że rodzina jest już w Olecku. Skorzystałem z urlopu i przyjechałem do Olecka. Trzy dni chodziłem do RKU zameldować przyjazd na urlop. O godzinie czternastej nikogo prócz dyżurnego nie mogłem już zastać. Pomyślałem: tu są warunki, nie te co harówka moja w sztabie dywizji. Napisałem raport do MON o przeniesieniu mnie do Olecka. Prośbę uwzględniono. 9 lutego 1947 roku wyjechałem z Rzeszowa a 12 lutego zgłosiłem się do służby w RKU Olecko.

Byliśmy w komplecie.

Antoni Jelec
09-402 Oleck, ul. Kopernika 38